

Mariusz Sieniewicz

TRUSKAWKI

On

Ona

Użytkownik 1

Użytkownik 2

Czas i miejsca zmienne. Powinny dominować przestrzenie sugerujące obecność mnóstwa ludzi albo kompletnie puste. To rodzaj puzzli w świecie realnym i wirtualnym. Można je ułożyć, można rozrzucić. Bohaterowie zapętlają się w słowach i rzeczywistościach. Tworzy się spiralny model do składania – kolejność wydarzeń nie musi iść zgodnie z logiką przyczyny i skutku. Tekst jako gra losowa dwojga ludzi i czterech głosów.

Użytkownik 2: Wygrałam zakład...

Użytkownik 2: Zapomniałeś?... Hej, jesteś tam?... Wygrałam zakład!

Użytkownik 2: Zieloona kroopkooo!... Widzę, że jesteś.

Użytkownik 2: A może zieloną kropkę dopadła amnezja?...

Użytkownik 2: A może zielona kropka zalana jest w trupa?...

Użytkownik 2: I tym samym oddała ducha? Zaprawdę, powiadam Ci wstań, skoro jesteś online!

Użytkownik 2: Hej, ile mam wołać?! Przecież się świecisz... Zielona kropko, to ja – Twoja ukochana dupa!

Użytkownik 1: Jestem.

Użytkownik 2: No, wreszcie! Istnieją zakłęcia, które zawsze działają. Nie mogłam zasnąć, idealna pora.

Użytkownik 1: Teraz? Jesteś pewna?

Użytkownik 2: Teraz. I jak najszybciej. Zakład to zakład. Obowiązuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przydałoby mi się jakieś 7 minut spotkania... Nawet mocno aktywnego relaksu we dwoje... 7 minut, może być oczywiście więcej. Nie będę protestować.

Użytkownik 1: Trochę mnie zaskoczyłaś. Twoje szczęście, że mam płytki sen. Daj się ubrać.

Użytkownik 2: Ja cię rozbiore. Miłość przychodzi znienacka. To kwestia zakłęcia, nie szczęścia. Nie marudź, bierz taksówkę, przyjeżdżaj. Tylko mi nie gaśnij, zielona kropko.

Użytkownik 2: Spotkajmy się w połowie drogi. Będzie romantycznie. No i szybciej ten teges... Ach, wysiadają z taksówek i biegną ku sobie z przeciwnych stron nocy!... Jakiś tani hotel. Jak z filmów. Lub park z rumakiem ławki i parawanem krzaków, z baldachimami energooszczędnych lamp. Nie boję się banału.

Użytkownik 1: To niby duże miasto, a jak przychodzi co do czego, wszyscy się znają i nie śpią po nocach, tylko wystają w oknach. Duże ryzyko. Gdzie tak naprawdę mam jechać? Taksówkarz pyta.

Użytkownik 2: Tam, gdzie ostatnio, gamoniu. Ryzykiem jest wszystko. Nawet samo myślenie o Tobie.

Użytkownik 1: Wolę się upewnić. Do Opolą, tak?

Użytkownik 2: Nie, kurwa, do Ciechanowa!

Użytkownik 1: Chyba przez Częstochowę. To Twoje ulubione miasto. Dobrze przeczytałem? 7 minut? Szalona! Chcesz naszą miłość

zameńczyć? A 30 sekund nie wystarczy?...

Użytkownik 2: Chociaż 240. Inaczej szkoda zachodu, znaczy się: świtu. Ale jedziesz, tak?

Użytkownik 1: Siedzę w taksówce. Jadę. 60. Nie targuj się. Weź pod uwagę mój wiek i porę. Skowronki drą się, słowiki schowały dzioby po sobie. Starzeję się.

Użytkownik 2: Ja też już w drodze. 120, staruszku. Dasz radę. Jak coś, służę pomocą.

Użytkownik 1: Nie naciskaj. 90 sekund. To moje ostatnie słowo!

Użytkownik 2: 90 plus jakiś fajny bonus przed. Może powinieneś uprawiać łożkowe twitty?

Użytkownik 1: Zgoda. 90. Ale jaki bonus? Możesz jaśniej?

Użytkownik 2: Jakaś przyjemna gilgotka, co wywołuje niebiańskie dreszcze. Może być też wodospadowa łaskotka, którą spłynę do wewnątrz siebie.

Użytkownik 1: Nie podbijasz przypadkiem stawki?... Zrobię, co w mojej mocy. Stoi.

Użytkownik 2: „Stoi”?!... Prostack! Się, kuźwa ciesz, że się zgadzam! Że jadę do Ciebie. Dla Ciebie popełniam grzechy ciężkie i śmiertelne. Pół świata musiałam okłamać. A drugiemu pół zatkać gębę i wyłupić oczy.

Użytkownik 1: Może być, spoko-luz. Też jadę.

Użytkownik 2: Uduszę. Przysięgam, durna pało!

Użytkownik 1: Nasz klient, nasz pan.

Użytkownik 2: Puszczam mimo uszu. Wzięłam fajne płyty. Posłuchamy na jedną parę słuchawek?

Użytkownik 1: Phi... Ty masz inne fajne rzeczy, wierz mi.

Użytkownik 2: Zrobiłam fajne kanapki. Robiłabym codziennie, budząc Cię do pracy. Taka jestem konserwa.

Użytkownik 1: Zimno. Konserwę trudno otworzyć.

Użytkownik 2: Ale jak się uda, to już na zawsze. Zjesz czy nie?

Użytkownik 1: Owszem, jestem głodny, ale czego innego.

Użytkownik 2: Kawę mam!

Użytkownik 1: Zimno.

Użytkownik 2: Gorącą! Z mleczkiem.

Użytkownik 1: Pudło.

Użytkownik 2: No, to już sama nie wiem. Cycki wziąć?

Użytkownik 1: Wolę piersi i chcę Twoją pupę.

Użytkownik 2: Na 100 procent będzie ze mną, spokojnie.

Użytkownik 1: No, co Ty? Zawsze zabierasz ją ze sobą? Fantastycznie! To wszystko, czy coś jeszcze?

Użytkownik 2: Jasne!

Użytkownik 1: Piwo jasne pełne? Niesamowite! Ty to jesteś.

Użytkownik 2: Całą kratę. Do kanapek i fajek. Matka Polka Przyboczna, Matka Boska Prowiantowa. Pod moją opiekę uciekają się wszyscy pragnący. Wkurzasz mnie, wiesz? Chyba Cię dzisiaj zastrzelę.

Użytkownik 1: Nie wzięłem kamizelki kuloodpornej.

Użytkownik 2: Daruj sobie. Jeśli strzelam, to tylko z armat.

Użytkownik 1: A kwiaty przywieźć? Mijam kwiaciarnię. Cholera, nieczynna. I jeszcze taksówkarz. Dziwny jest. Przygląda się, jakby chciał rozpoznać i zapamiętać. Myślisz, że coś podejrzewa?

Użytkownik 2: Zapamiętaj numer licencji. Przynajmniej będzie wiadomo, kto kapuś. A kwiaty to zawsze jest dobry pomysł. Jak każda piękna rzecz. Każ stanąć i włam się. Po chryzantemy. Dla siebie.

Użytkownik 1: A kwiaty ze słów mogą być?

Użytkownik 2: Mogą, choć są zbyt szybko wędzną w męskich ustach. Uważaj na taksówkarza. On chce zjeść nasze truskawki i donieść światu. Uwierz, nie muszę widzieć. Mam szósty zmysł. Widzimy się zaraz.

Ona: Śniesz czy śpisz?...

On: Lewituję kilka centymetrów nad ciepłym zmęczeniem.

Ona: Chciałam ci powiedzieć, że sobie rozmyślałam...

Ona: Podziwiam małomówność sufitów, ich takt i dyskrecję... To dobrze, że są lojalne, że nie puszczają pary z gęby. Bez poczucia wyższości patrzą z wysoka na nasze ciała: raz przytulone, innym razem splecione, raz powyginane albo syjamskie, czasami leżące na wznak, jakbyśmy zamienili łóżko na katafalk. Poza snami może one jedne zachowują największe tajemnice naszych powiek... Sufity przypominają mi zasklepienie niebo. Widzą nas wszystkich, jak chodzimy, rozmawiamy, cierpimy i kochamy się. Widzą nas bardzo blisko, a jednocześnie pozostają całkowicie samotne...

Ona: Tak. Materace to przeciwieństwo. Odkształcają ciężar naszych zdrad i wierności, naszych namiętności, nie mówiąc o bardziej widocznych śladach. Kołdry przechwytyują zapach, we wklęsłościach i wybrzuszeniach przedrzeźniają kochanków. Odrzucone na bok, mszczą się, udając szpiega, który podpełza, żeby tylko usłyszeć sekret. Zrzucają poszwę jak wąż skórę, a poszwa przekazuje wiadomość pralce. I dalej już leci, bo w pralce, w tym skotłowanym mezaliansie majtek, podkoszulek, obrusów, skarpet i ścierek wszyscy czekają, żeby rozpuścić plotkę. Poduszki i te ich siostry przyrodnie poszewki też mają długi język. Nasłuchują każdego oddechu i tworzą własne, fantazje, aż boli głowa i nie można zasnąć, gdy człowiek przykłada skroń. To stąd, stąd właśnie bierze się bezsenność. Niby cisza, a trajkocą jak nakręcone. Słyszałam nieraz, jak konfabulowały – spokojnie, nie o nas, o mnie i moim mężu... Żeby tkwiło w tych ściemach choć ziarno prawdy...

On: Nie jestem ciekawy.

Ona: ...może nie zwróciłabym nigdy na ciebie uwagi. Wybacz szczerłość.

On: Nie gniewam się, raczej współczuję.

Ona: Sufity mają inną naturę i zachowują dystans. Są powiernikami

spraw, o których lepiej nie mówić nikomu, nawet szeptem. Wspaniałomyślnie nie dają niczego po sobie poznać. Kamień w wodę. A przecież miałyby co opowiadać, choćby lampom, które rzuciłyby więcej światła na pewne sprawy... Oj, nieciekawe mielibyśmy widoki na przyszłość. To byłby koniec. A było całkiem, całkiem przyjemnie.

On: Przyjemnie?!... Jednak szuja. Szuja i tyle.

Ona: Dlaczego tak mówisz?

On: Jeszcze pytasz?! Było cudownie! Cudownie, a nie całkiem przyjemnie.

Ona: Opowiadaj, chłopaku!

On: Nie kpij sobie. Chcesz? Chcesz, to Ci powiem: kocham Cię. Czuję, jakbyśmy na moment stali się jednym pulsującym strumieniem krwi, jedną komórką, z której wszystko bierze początek. Nic nie istniało poza nami. O, nie, to gigantycznie, gargantuicznie o wiele więcej niż przyjemnie. To kosmos! Stał się cud, bo ty cudem jesteś.

On: No i co?...

On: No i co? Zatkao kakao?

Ona: Wcale nie. Dawno nic podobnego nie słyszałam. Dziękuję. Dziękuję mocno, ale nie przesadzaj. Mało to cudów chodzi po mieście? Masz skłonność do emfazy. Masz rację – starzejesz się. Choć ciesz się. Lepsza emfaza niż stetryczenie. Chcesz papierosa?

On: Chciałbym, żeby mówiły o tym wszystkie poduszki, wszystkie kołdry i materace świata! Wszystkie domy, hotele, pokoje, sypialnie! No, ale skoro dla ciebie tylko przyjemnie, to może mi się pani nie kłaniać. Co zrobić, pomyłka. Bywa. Pozostańmy przy przyjemnym seksie, który przydarza się raz na jakiś czas. Może na tym to wszystko polega, żeby siebie wzajemnie zaliczyć. Proszę odwrócić się na drugi bok. Niech właściwe wersje tego, co się wydarza, ustalą nasze plecy.

Ona: A głupi!

On: Ale wrażliwy, a pani zmopsiała. Od dzisiaj na pani widok będę przechodził na drugą stronę łóżka.

Ona: Zmopsiała!? Kuźwa, skąd ty bierzesz te słowa!?

On: Z obserwacji pewnych znudzonych kobiet, które bladym świtem szukają podniet w zielonych kropkach, a później gadają o małowównych sufitach. Przyjemnie a cudownie to, było nie było, różnica. Fundamentalna! Kardynalna, że użyję twojego katolskiego języka. Rozumiesz teraz?

Ona: Co znaczy „zmopsiała”? Masz na myśli mopa czy psa?...

On: Kobietę, która zmywa podłogę psem! Kropka.

Ona: I od kiedy słowo „przyjemnie” jest słowem o małej czy średniej mocy!?

On: Od zawsze.

Ona: Dla mnie przyjemnie to przyjemnie. Jest właściwą miarą. Samo słowo, jego brzmienie jest miłe, miękkie, ciepłe i smakowite. Odstuchaj je sobie powoli w myślach i na głos, podziel na aksamitne sylaby, gdy jedna przechodzi w drugą i ją dopełnia. Czujesz, jak stykają się wargi. Wdech, wydech, zamknięcie: przy-je-mnie. Teraz wszystko musi być petarda, w najgorszych razie – zajebiste! Chciałbyś być petardą w łóżku? Taką, co jest głośna, efektowna, ale szybko wybucha. Może to na Sylwestra dobre, ale na co dzień? Petarda jest niewypałem.

On: Ja petarda? Nie bądź wulgarna.

Ona: Takie czasy, że trzeba podkreślać wrażenia. Otwierasz usta i rusza Wielka Pardubicka wykrzykników, mówisz, a jakbyś detonował euforię, Co słowo, to orgazm werbalny języka. Boże, moja córka powiedziała ostatnio, że lubi, gdy koledzy i koleżanki... są mili. Ale obciach. Powinni być fantastyczni, rewelacyjni, niesamowici, ekstra, ekstraordinaryjni. Rośnie z niej zimna ryba, nie dość entuzjastyczna, nie dość egzaltowana, co?

On: Durna. Wyobraź sobie, mam kilka bardzo przyjemnych koleżanek. Naprawdę, bardzo przyjemnych. Bardzo miękkich. Bardzo ciepłych, smakowitych. Mówię bez zbędnych wykrzykników, strun głosowych nie napinam.

Ona: Spieprzaj!

On: O, jaka mamusia kulturalna! Przeklinać też ją uczysz? To miłe...

Ona: Nie muszę, przekleństwa przychodzą z zewnątrz. Są nieproszonym

gościem, który staje się domownikiem. No, wstawaj, wykaż się hi-per-bo-li-cznie! Już, ubierz skarpetki, majtki, spodnie, koszulę. Efekt ma być kon-ge-nia-lny, efekt ma być do-sko-na-ty! Rodem z okładki lajstajla! Głupio, żebyś to zrobił, wiesz, tak po prostu dobrze, nie mówiąc, że normalnie... A ja zrobię ci wy-śmie-ni-tą, za-je-bi-stą, me-ga kawę! Przecież nie wystarczy, żeby była tylko smaczna. Będzie jak z reklamy, sypane szczytowanie. A... zaraz... poczekaj... Już wiem, dlaczego miało być być cu-do-wnie, a nie tylko przyjemnie.

On: Niby dlaczego? Co ci łązi po głowie?

Ona: Wtedy twój narcyzm zakwita dzięki mnie na nowo. O takie „cu-do-wnie” chodzi, prawda? Przyznaj się, śmiało!

On: Spadaj do kuchni.

Ona: Trafiony-zatopiony. I cóż to za patriarchalne zakłęcie z wąsem! Vivat testosteron w kapciach. W ustach wolnomyśliciela, co to obnosi się, jakby objawiał entą tajemnicę fatimską, że serce ma po lewej stronie – przepiękne. Chyba dam posta na fejsie! Faceci. Wychodzi szydło z wora. Wychodzi stare, pordzewiałe i tępe. Jestem wzruszona. Już lecę, kochany, już lecę. Sprawię, że zakłęcie zadziała.

On: Przestań, proszę...

Ona: Zaraz wracam. Będzie ci przyjemnie. Został nam cały, tłuściutki kwadrans. Zamiast śniadania.

Użytkownik 1: Masz masło? Jadę do Tesco.

Użytkownik 2: Cholera, właśnie wróciłam z masłem z Lidla.

Użytkownik 1: Masła nigdy za dużo. Na pewno potrzebujesz więcej. Jest promocja i większa anonimowość niż w parkach, hotelach, knajpach. Nikt nie zauważy. Przyjedź za kwadrans, nie daj się prosić. Czekam przy wózkach.

Użytkownik 2: Wcześniej, choć o godzinę, takie rzeczy się mówi. Bierz przykład z mistrzyni. W konspiracji najważniejsza jest informacja i logistyka, ile razy ci mówiłam? Ale że co: masło? Chcesz, żebyśmy

pieprzyli się przy lodówce?

Użytkownik 1: Tak. Przy nabiale. W maśle, jogurcie, maślanec. W prostokątach i blokach sera, na wykrajanych w kształt serca twarogach. Potrzebuję dużo Twojego białka. Dużo laktozy i fermentacji, dużo zdrowych bakterii. Małżeństwa bywają za mocno pasteryzowane.

Użytkownik 2: Będzie nam biało-żółto jak w raju? Wspaniale. Tylko że tam zimno. Lepiej spotkajmy się przy pieczywie, mój rogalu z makiem, moja grahamko. Będiesz mi chlebem codziennym, będziesz kromką wieloziarnistej komunii powszedniej. Albo przy słodkim, preclu mój, pączku lukrowany z piegowatą posypką! Podniesiesz mi cukier we krwi, aż zabuzuje, rozkręci się, zakaruzeli od stóp po czubek głowy.

Użytkownik 1: Nie, zrobmy to na mięsnym. Splątani w kajdanach kiełbas, wciśnięci między połcie szynki i boczków! Kroiłbym cię na kawałki i cienkie plasterki. Będiesz moim carpaccio uczucia. Chcę mięsa, chcę Ciebie! Prawdziwa miłość nie jest wegetariańska. To mięcho, kości, żyły i ścięgna. Zeżrę Cię, zeżrę do ostatniej kosteczki i w szpik się w gryzę i wyszę w szpik Twojego serca!

Użytkownik 2: A fuj, kanibalu, mięsożerco, garmazeryjny grafomanie! Szpik serca wysysać?

Użytkownik 1: W miłości zjadamy siebie wzajemnie. No przecież!

Użytkownik 2: Frenezje. Na tekstylnym byłoby całkiem przyjemnie... Ty byłbyś casual, a ja – glamour. Udawalibyśmy ożywione zniecka manekiny, którym przybyło życiowych sił i kilogramów. A w przymierzalni, wśród oniemiałych luster i naprędce zrzucanych ubrań, rozpętałibyśmy orgię westchnień i stłumionych okrzyków. Niby tylko we dwoje, a jakby nie patrzeć – zbiorowy seks. Ktoś wezwałby na pewno ochronę. Może policję. Wybuchłyby skandal i powszechna zazdrość. A my, manekiny, zastyglibyśmy w miłosnym skurczu.

Użytkownik 1: Na dziale agd, hę? Na dziale agd człowiek dostaje ADHD. Sokowirówki, garnki, rondle, patelnie byłyby nam świadkami. Wycisnąłbym z ciebie wszystko. Wysmażyłbym ci coś na pupie, a potem zamknęlibyśmy się w największej pralce. Pokrętko ustawiłbym na program „Love, level hard ever”.

Użytkownik 2: Może lepiej przy półkach z chemią. Na drodze mlecznej rozsypanych proszków, w pierzastej pianie szamponów i płynów do

naczyń, wybielaczami usunęlibyśmy przeszłość i przyszłość. Nasza miłość miałaby tylko jeden czas: teraźniejszy.

Użytkownik 1: Ależ poezja! Godna supermarketu, naprawdę! Ja jednak na warzywnym wolę. Pośród cynamonów, grejpfrutów, selerów, kapust, arbużów. Rozbiorę Cię jak cebulę. Łupinka po łupince. I popłaczę się ze szczęścia.

Użytkownik 2: Chcę! W stosach prężących się bakłażanów! I ogórków, białej rzodkwi, pietruszek. Obiorę Cię i posiekam. Zębami i paznokciami. Będziesz smaczny i zdrowy. Będziesz sałatkowy. Będziesz moją witaminową bombą!

Użytkownik 1: Chcę wszędzie. Wózek powiezie nas alejkami tam, gdzie pieprz rośnie. Na dziale przypraw będziesz mi kurkumą, bazylią, moją solą morską! Moim kardamonem, wanilią...

Użytkownik 2: Pojechałabym, ech!, gdzie poniósłby wąż. Nie nakręcaj już, nie dręcz. Wystarczy. Teraz nie dam rady, nie mam z kim zostawić dzieci. Wybacz.

Użytkownik 1: Wyrzuć masło do śmieci. Wyrzuć zawartość lodówki za okno...

Użytkownik 2: Wyrzucić dzieci? No, weee!...

Użytkownik 1: Przyjedź, błagam.

Użytkownik 2: Muszę kończyć. Odezwę się. Ściskam-zaciskam. Bez odbioru. Truskawki.

On: Potrafisz wskazać dokładnie ten moment? Jednak bez dnia, miesiąca. Bez zewnętrznych dekoracji, które później, całymi latami nosi się jak realny pamiątnik, że życie jednak nam się trochę udało, że kochaliśmy. To przypadkowe spotkanie, to zderzenie spojrzeń, a później ten stolik, to kino, ta ekscytacja...

Ona: Przepraszam, ale w kinie nie byliśmy. Chyba, że masz na myśli kogoś innego.

On: Ta impreza, taka, siaka sukienka, ten wieczór, ta randka i schadzka, wzruszenie. Ty powiedziałaś, ja zapamiętałem. Ja powiedziałem, ty zapamiętałaś...

Ona: Nie rozumiem. Nie rozumiem cię.

On: Ruch warg, spłot dłoni, wspólny, klikany papieros, pierwszy dzień tygodnia. Deszcz padał, nie mieliśmy parasola, cała zmokłaś, autobus się spóźniał. I tak dalej, bez końca. Enumeracja miłości, ołtarzyk czułości, litania odurzenia. Cokolwiek opowiem będzie dobrze: spłot warg, ruch dłoni, wieczorny taniec papierosów w bramie, ostatni dzień tygodnia. Świeciło słońce, byłaś opalona, szliśmy, gdzie oczy poniosą. A gdyby tym się nie podpierać? Opowieści są zmienne, każdy pamięta, co sobie roi, fakty nie mają znaczenia. Myślę o czymś innym. O jakiejś linii wewnętrznego horyzontu, za którym pada iskra i podpala całą przeszłość i przyszłość. Stawia człowieka w stan radosnego lęku i czyni świat nieodwołalnym...

Ona: Brzmisz jak powiatowy Słowacki.

On: Kiedy to się stało? Kiedy stałaś się iskrą? Kiedy mój wewnętrzny horyzont od niej zapłonął? Tylko rzeczy, spotkania i okoliczności zewnętrzne nas poświadczają? ... Ja nie potrafię.

Ona: Uspokój się natychmiast! Chodź do mnie, przysuń się bliżej. Potrzebuję. Mam strasznie zimne stopy. Gdy nie ma ciebie blisko, czuję się, jakbym z brzucha matki trafiła prosto do pustej kostnicy.

On: Nie obracaj nas w żart. Pytam poważnie. Nie umiem wskazać...

Ona: To niczego nie zmieni. Niepotrzebnie komplikujesz. Chcę ciebie. Z jednym się zgodzę: jesteś dla mnie światem. Jesteś nieodwołalny. Nigdy cię nie odwołam. Uspokojony?

On: Wszystko odbywa się w słowach, słowami się uzasadnia...

Ona: Czyżby? Teraz to ty chyba sobie żartujesz. Chcesz daktyloskopii moich ud? Zawsze, gdy pozwalam ci wyjść ze mnie, dopadają cię dylematy. „A kiedy?”, „A dlaczego?”, „A iskra, horyzont?”. To ty chcesz się uzasadniać. I czym w dodatku – pytaniami? Co z tobą, Hamlecie?

On: To za mało. Język jest odwołalny. Zapewnienia, obietnice, przysięgi. Na Sądzie Ostatecznym Wierności sądzić nas będą nasi

mężowie i żony do spółki z naszymi przeszłymi i przyszłymi kochankami.

Ona: Wypraszam sobie! Jesteś pierwszy i ostatni. Dla ciebie złamałam najważniejszą przysięgę. I skaczę z tego powodu ze szczęścia, złamasie! Pół roku temu wyśmiałałabym sama siebie.

On: Ale ten drugi. Po mężu.

Ona: A który masz, kurwa, być? I to jest nieodwołalne!

On: Jeszcze mnie kiedyś odwołasz i zapomnisz, jak zapomina się sen.

Ona: Cudu nie da rady zapomnieć, odwołać. Jak zwykle Hamlet zmienia się w Whartona – prawdziwy dramat mężczyzny, który myśli i usiłuje dociec przyczyny. Biedactwo! Język jest nieodwołalny, choć nazbyt często lubi zastygać we frazes.

On: Powinniśmy się przelecieć, a później strzelić sobie w łeb.

Ona: No, już lepiej. Pierwsze mamy za sobą, zostaje drugie. To trudno byłoby odwołać. Przestań już, chodź. Powinniśmy się poprzytulać.

On: Przytulanie. Typowa kobieta. To wszystko? Nie stać cię na więcej? Nie jestem maskotką.

Ona: Strzelanie. Typowy facet. To wszystko? Kiedy ten jeden, kurwa, jedyny raz postanowiłam nie pieprzyć o pieprzeniu, robisz mi wymówkę! Chciałam być delikatna i pluszowa, draniu!

On: Bądź mi pluszowa, jedwabista, leżąca się, miękka, milusia, ckliwa, czuła, delikatna, kobieco uległa, słowem: moja, przynależąca. Umiesz być zwiewnym kociakiem?

Ona: Umiem być różna. Uczyłam się tego od urodzenia. Uczyłam od matki i babki. No, wiesz: wierna, niewierna, kociak, kocica, żona, matka, troskliwa kobieta. Święta i grzeszna. Kucharka, modelka, siostra, kumpela. Troszeczkę tego jest. Jestem jak cebula. Obieraj mnie.

On: Ale że co?

Ona: Jajco.

On: To kim jesteś? Czy Ty jesteś moją kochanką?

Ona: Nie wiem, kim jestem. Pewno tak by to nazwali.

On: Już wiem! Jesteś moją SYMPATIA.

Ona: Cudownie.

On: Myślałem, że powiesz: Ty, świniol!

Ona: To byłoby niesympatyczne. Nie wiem, kim jestem.

On: A może jesteś moją najpiękniejszą Tajemnicą?

Ona: Słodko mieszasz mi w głowie... Jestem tak bardzo zmęczona. Ale jeśli to ci potrzebne, mogę być każdą.

On: To się wciąż zmienia, przeistacza, wiruje.

Ona: Obawiasz się zmienności?

On: Obawiam się niewiadomej, która nie zostanie nigdy nazwana, a z którą dzień po dniu umieram.

Ona: Uważaj na słowa. Nie boisz się, że mnie stracisz, jeśli nazwiesz? Może chcesz odpocząć?

On: Na twoim łonie.

Ona: Zwariowałeś.

On: A co, nie masz łona?

Ona: Nie tutaj i nie teraz. Mam truskawki. Może potrzebujesz to przerwać? Musisz się chyba dobrze i poważnie zastanowić...

On: Poważnie to ja się zastanawiam, żeby ukraść Ci majtki.

Ona: Muszę iść. Zrobiło się późno. Żona i matka nie mogą czekać. I moje psy pewnie są głodne. Trusk!

Użytkownik 1: I jak wyprawa na wieś? Coś sensownego czy patriotyczna cepelia?

Użytkownik 2: Pięknie. Interesujące były drzewa genealogiczne, te koraliki, paciorki rodzinne, nanizane na sznureczki kobiecych pępowin.

To był dom kultury polskiej. Bóg, honor, ojczyzna, dziedzictwo i wszystkie inne, za którym nie przepadasz.

Użytkownik 1: Nieźle. I?...

Użytkownik 2: Powstańcy, Popiełuszko, Piłsudski, nie rzucim ziemi, te sprawy... Soplicowo i nad Niemnem w pakiecie. Jest jeszcze taki świat. Bardzo przyjemne miejsce.

Użytkownik 1: Jest i się rozrasta. Grubo.

Użytkownik 2: No, czułam się jak u siebie. Pobiegłabym w te łąki, w te pola z Tobą. I plotłabym z kwiatów wianek, i w złocistych łąkach zadzierałabym wysoko sukienkę tylko dla Ciebie. I dla Ciebie śpiewałabym ludowe piosenki.

Użytkownik 1: Brawo. I pewnie bieglibyśmy bosą, przegryzając polską, ludową marchewkę. Pleciesz trzy po trzy.

Użytkownik 2: No, przecież żartuję.

Użytkownik 1: Katolski dowcip, prawackie żarty.

Użytkownik 2: A gdzie lewacki luz?

Użytkownik 1: Tam, gdzie prawdziwa Polska.

Użytkownik 2: Znasz ją?

Użytkownik 1: Tak, widziałem ostatnio. Miała zastłoniętą twarz. Krzyczała, była agresywna i chciała wszystkich bić.

Użytkownik 2: Za dużo oglądasz TVN-u. Jesteś naiwnym dzieckiem lat 90. Trochę się wokół nas zmieniło.

Użytkownik 1: Mój przyjaciel został pobity. Do krwi. Wyszedł z domu, nie z telewizora. Normalny człowiek, wiesz? Po prostu uśmiechał się, ale chyba inaczej niż wszyscy. Dzisiaj trzeba wiedzieć, jak wygląda twój uśmiech i twarz.

Użytkownik 2: Przez kogo? Dlaczego?

Użytkownik 1: Przez prawdziwych, otwartych i uśmiechniętych Polaków. Dlaczego? Nikt, kto ma odmienne poglądy, nie powinien być bity. To takie, kurwa, skomplikowane?

Użytkownik 2: Mocne. Jesteśmy Chrystusem ksenofobii. Przyjmiemy wszystko. My tępe mięśniaki, faszyści, zwyrodnialcy. Chodzimy na Marsze całymi rodzinami i napierdalamy kogo popadnie. Mój syn pobił ostatnio Cygana. Za Polskę. Mieszczę się w twoim obrazie czy wystaję z ramy?... Uważasz, że jestem naziolką, tylko dlatego, że wierzę, gorąco wierzę i nie chcę, żeby ktoś mnie z tego powodu poniżał, chuju na ropę?

Użytkownik 1: Idź do dupy śpiewać.

Użytkownik 2: Zjedz mojej babki sranie. Podobny argument

Użytkownik 1: Narośl wokół pochwy.

Użytkownik 2: Pierdol się z własną ręką. Ja jestem niepotrzebna.

Użytkownik 1: Dlaczego jesteś cięta z jednego kawałka drewna.

Użytkownik 2: Nie, to Twój osobisty dramat. Jestem drzewem, Ty widzisz drewno. Co ja mogę?

Użytkownik 1: Udowodnić się. Zobaczyć siebie we mnie.

Użytkownik 2: Wal się. Kocham i tęsknię.

Użytkownik 1: Chcę z tobą obejrzeć film, coś zjeść, pójść na spacer, położyć się do łóżka. Chcę cię rozebrać, chcę cię ubrać. Chcę, żebyś przez kilka godzin oddawała mi zapach i ciepło. Olejmy prawdziwe i fałszywe Polski.

Użytkownik 2: Zwariuję.

Użytkownik 1: Nie gadajmy już o tym. Nie ma sensu.

Użytkownik 2: Właśnie teraz powinien być ostry seks. Rozwiązujemy tak wszystkie konflikty i nieporozumienia. Chcę. Zwariujemy na moment razem. Chcę być Twoim Miejskim Przedsiębiorstwem Czułego Ciepła. Chcę być Ciepłą Polską. Mam go w sobie więcej niż cała ziemia. Mogę być Twoim kaloryferem. Albo piecykiem. Tak! I kocykiem! Niesfornym. Ale rozgrzewającym. Do środka.

Użytkownik 1: Do, czy od?

Użytkownik 2: Do środka Ciebie. Przyjdź tu natychmiast i się ze mną kochaj!

Użytkownik 1: Możemy spotkać się w pół drogi i zrobić to pod rozłożystą czaszą jakiegoś drzewa.

Użytkownik 2: Jakiego? Jakie wyjątkowo lubisz? Mnie nazywają czasem drzewem.

Użytkownik 1: Pod kasztanowcem? Pod lipą? Tyle że później będzie jeszcze gorzej.

Użytkownik 2: Wierzę, że nie.

Użytkownik 1: Chciałbym się Tobie zawierzyć. Jak Twojej Matce Boskiej. Czasami mam wyrzuty sumienia, że Cię sobą obarczam. Na zewnątrz staram się być twardzielem. Lewacy są delikatni, proszę Pani. Są poniewierani, proszę Pani. Jesteś niebezpieczna, bo stajesz się moim światem. Na nic innego już nie starcza miejsca.

Użytkownik 2: Biedactwo. Ja Cię obronię. Pogadam z chłopakami. Nie ruszą. Już, już, spokojnie. Mam legitymację z numerem 37. Wyjedź ze mną do Tworek.

Użytkownik 1: Chętnie. Zresztą, chyba nie mamy innego wyjścia.

Użytkownik 2: Bierzmy jedną pidżamę, zawiążmy rękawy i w drogę. Przez truskawkowe zasieki.

On: Masz papierosa?

Ona: Mam. Masz ogień?

On: Mam. Chciałbym z tobą wypić wino na ganku jakiegoś geesu. W jakiejś wsi zapadłej.

Ona: Klikasz?

On: Klikam wyłącznie twoje. Ale słuchaj, w takiej, odciętej od świata, do której nie docierają nawet bociany i diabeł nie mówi „dobranoc”, lecz jest zwykłą, starą kobietą w oknie chałupy. A później, ciepłym, jesiennym popołudniem, z szumiącym w głowach winem, zabrałbym cię na pole. Wygrzebalibyśmy z ziemi ocalałe kartofle i upiekli w żarze ogniska. Wiesz, już nie mam swojej wsi. Mam wykastrowaną pamięć. Nie wiem,

gdzie się ruszyć?

Ona: Może potrzeba nowej? Wymyśl ją sobie.

On: Nie umiem. Brakuje mi tamtych, niepodrabialnych w wyobraźni, zmierzchów, zapachu ognia, poparzonych palców, zwęglonych łupin w ustach, porykiwania krów, zachodzącego za górą słońca. I wieczornej rosy, którą czuje się na kostkach.

Ona: Mnie brakuje pachnącego deszczem asfaltu i ciepłych jajek, wykradanych kurom spod zadków. Kogut nazywał mnie złodziejem. Mama robiła jajecznicę z grubymi plastrami boczku.

On: Moja wieś wybrukowana była kocimi łbami. Wystawały z grubej, zapieczonej warstwy ziemi na dowód, że kiedyś istniało w coś więcej niż tylko kościół, sklep, cmentarz. Gdy spadał deszcz, kocie łby oddawały zapach gorącego kamienia i piachu. Na rozwidleniu dróg rósł ogród z dzikimi jabłonkami i wielkimi namiotami krzaków. Tam bawiliśmy się w „wojnę”. Tęsknię za tamtymi „wojnami”. Nikt na nich nie umierał.

Ona: Mnie brakuje opalania na dachu kurnika i turystów pytających o pokoje. Brakuje mi ojca, który średnio co tydzień przychodził do mnie z nowym pomysłem na życie. Albo musiałam pomagać mu sprzedawać pomidory, recytując przy tym durnowate rymowanki o wczasach na wsi albo budził mnie od 5 rano i produkowałam na wielkiej maszynie reklamówki do sklepów w mieście... On je rozwoził. Później kazał mi sprzedawać ruskie fajki po polach namiotowych, a popołudniami kleiliśmy żywicą dziurawą łódź. Nigdy nigdzie nie popłynęliśmy, choć ojciec tak pięknie opowiadał morzu, które podobno huczało zaraz za lasem. Wiedziałam, że fantazjuje, ale gdy umarł, postanowiłam sprawdzić. Trochę na przekór sobie. Uciekałam z domu i przez dwa dni szłam tym lasem. Gdy przerzedziły się drzewa, ujrzałam nieznane mi miasto, rozświetlone neonami, z kominami sięgającymi chmur. Już nigdy nie wróciłam do domu. Czasami lepiej zachować wiarę innych w to, co niewidzialne, co dla nas nie istnieje.

On: Kupowałbym od ciebie ruskie fajki. Całe wagony.

Ona: Ja je sprzedawałam, on liczył kasę. Nawet dostałam plecak ze specjalnymi przegródkami na mocne i lajty, w twardym i miękkim opakowaniu...

On: Jarałbym po kilka paczek dziennie i wracał do ciebie. Napalony.

Ona: Dawałabym za bezcen, czekając aż podrosnę...

On: Kiedy już wyprowadziliśmy się ze wsi, poznałem na miejskim targowisku Rosjanki. Sprzedawały papierosy spod pończoch i podwiązek. To była najbardziej efektowna i efektywna promocja. Czasami wpadały na targ patroli policji. Przymykali, rekwirując fajki. Nie wiem, dlaczego, ale czułem, że przynależę do świata, którego wywołuje wstyd.

Ona: U nas sprzedawałam ją jedna. Nikt nie podejrzewał bosej dziewczynki.

On: Bosej? Tak ciężko było związać koniec z końcem? Dziewczynka z fajeczkami, tak? Postpegeerowski Andersen?...

Ona: Mimo wszystko, było pięknie. Inny świat nie istniał i nie miał prawa się zdarzyć. Dlaczego nigdy nie przyjechałeś do mnie na wakacje?

On: Dlaczego nie przyjechałaś nigdy do mnie na wakacje? Innego świata nie znałem.

Ona: Niech one się ze sobą spotkają. Po latach. Spróbujmy, może się uda. Powiedziałaś, że chcesz pojechać.

On: Tak. Chcę. Kiedyś. Ale nie jestem chyba jeszcze przygotowany. Dzisiaj powinienem się już truskawkować.

Ona: Może nigdy nie będziesz. Poczekaj. Dlaczego chcesz uciekać? Ty uciekasz, tak?

On: Za mocno jestem po stronie przyszłości. Powinienem skończyć wreszcie projekt, zebrać maliny, w ogrodzie zatręśienie, a obiecałem córkom. I jeszcze odpowiedzieć na pięćset nikomu niepotrzebnych maili, podzwonić, pokrzętać się dla dobra rodziny i ludzkości. Muszę obrać ziemniaki. Robisz mi zaległości w życiu.

Ona: Kocham pana, mój bohaterze.

On: Dlaczego od razu: „mój bohaterze”? Nie za wysokie „c”?

Ona: Znasz taką kobiecą odpowiedź: „bo tak!”?

On: Może jednak jakiś konkret. Coś, czego mógłbym się chwycić, zanim wyjdę. Bo tak to mgła.

Ona: Za obieranie ziemniaków. Może być? Chciałabym z Tobą obierać

ziemniaki. Dużo, dużo ziemniaków. Szybkie ruchy nożyków, taniec obierzyn, plusk wody w garnku. Pewnie rąbiesz romby i sześciiany. Ja jestem niezła w kuchni. Nie chodziłbyś głodny. Potrafię wszystkich wykarmić. Co sobie pomyślałeś, hę?

On: Naprawdę, lepiej, żebym już sobie poszedł.

Ona: Szkoda. Pójdę i ja w żyćkowe truskawy jak w chwasty. Zawsze jakieś się znajdują pod ręką. Kupię synowi zeszyty, umyję, posprzątam, rozwieszę 49 pranie, pojedę po żarcie dla psa. Też robisz mi długie przerwy w życiu.

On: Przepraszam. Nie dzisiaj to wino.

Ona: Siebie przeproś, a najlepiej: swoje truskawki. Im jesteś to winien.

Użytkownik 2: Palisz?

Użytkownik 1: Nie. Kolację robię. I myślę o Tobie. Nad pomidorem. Nad szczypiorem. Nad twarożkiem o Tobie myślę.

Użytkownik 2: Lubię pomidory. Szczególnie malinowe. Jestem sama, zgasłam światło, piję wino i palę. Siedzę na parapecie w otwartym oknie. Macham sobie nogami na zewnątrz. I myślę o Tobie.

Użytkownik 1: Dobrze Ci. Też potrzebuję trochę ciemności. Jesteś sama?

Użytkownik 2: Mam światłowstręt i piekące oczy. Nie chcę nikogo widzieć. Boli mnie brzuch i uszy od słuchawek.

Użytkownik 1: Pomachaj dla mnie nogami.

Użytkownik 2: Macham i przeciągam palcem po ustach. Wiesz, co to znaczy. Patrzę na ułamany wafel chmury i rozmyślam o minionym lecie. To już naprawdę koniec. Last day of summer. Zapach suchych liści jest obezwładniający. Ziemia oddaje wielomiesięczną spiekotę. Na wyprzedazach lata tanieją zwiewne sukienki. Zielone zmienia się w miód. Wyrzyj przez okno. Chciałabym, żebyśmy patrzyli na tę samą chmurę.

Użytkownik 1: Stoję w oknie.

Użytkownik 2: Z Twojej strony pewnie wygląda inaczej.

Użytkownik 2: Nie widzę żadnej. Jest bezchmurnie. Czy my na pewno patrzymy na to samo niebo?

Użytkownik 2: Kochanoc.

Użytkownik 1: Nie uciekaj. Ale że Kosmos, Noc, Kochanie? Wiem, wiem, obiecał mi sobie truskawki.

Użytkownik 2: Ty obiecałeś. Tak, kosmos. Truskawkowy kosmos. To nas ładnie opisuje. Brak, brak brak, duży brak!

Użytkownik 1: Tak. Ogromny. Spadaj, Truskawo.

Użytkownik 2: Odpoczywaj. Kocham Cię. Odlot.

Użytkownik 1: Boeing czy F16?

Użytkownik 2: Zaczepiasz mnie? Wiadomo, myśliwiec.

Użytkownik 1: To chyba MIG.

Użytkownik 2: O, Boże, Ty mówisz o radzieckim samolocie?! Serio? Tfu! A tak coś mnie palił język przed chwilą. Myślałam, że to od fajki. A kysz, a kysz, ruska gnido.

Użytkownik 1: Niestety, choć trudno w to uwierzyć, nie mamy myśliwców polskiej produkcji.

Użytkownik 2: Jeszcze.

Użytkownik 1: Wiem. Będą. Najlepsze na świecie.

Użytkownik 2: Tak. Najlepsze.

Użytkownik 1: I pokonają wszystkich naszych wrogów.

Użytkownik 2: Tak. I przeciwności losu. I truskawki między nami. Mam ludzkowstręt dzisiaj. Idź już sobie. Bez odbioru.

Ona: Nie chcę nic pić. Muszę być bardziej ostrożna. Ale ty sobie zamów.

On: Co się stało? Opowiadaj.

Ona: Wczoraj zakrztusiłam się piwem.

On: Myślałem, że winem?...

Ona: Zakrztusiłam się piwem, aż mi oczy zatańczyły przed nosem z piany i myślałam, że umrę. Przez piwo!... Wyobrażasz sobie! Przez browara z puszki. I byłam pewna, że umrę już zaraz, za chwilę i tak naprawdę, naprawdę!... To byłoby jednak okrutne. Nikogo w domu, cisza, tylko ja i psy. Krztusząc się, pobiegłam szybko do lustra. Chciałam zobaczyć, jak wygląda człowiek, kiedy umiera.

On: Brawo, pijaczko. Zrobiłbym ci tracheotomię językiem. I co zobaczyłaś w lustrze?

Ona: Coś bardzo śmiesznego. Twarz dziecięcej staruszki. Było w niej przerażenie, zdumienie i pewność, że to już koniec. Umierałam z uśmiechem. Upadłam na suszarkę i nie wiedziałam, czy ze śmiechu, czy ze strachu. A ten śmiech narastał i nie chciał się skończyć, aż po uszy. Taki charkot wykrztusimy, plwocinowy, i śmieszny, i złowrogi. Czasami tak mam, że robi mi się emocjonalny szpagat w głowie: odczuwałam potworny, ciężki lęk i jednocześnie lekkość, radość. Ołów i motyl. Przemknęło mi przez myśl, że nie zdążyłam się z tobą pożegnać i będziesz się gniewał. Psy przysiadły na zadach i spoglądały czujnie z postawionym do góry uszami, co się ze mną wyprawia. Nie mogłam ich odgonić. Zwłaszcza ten jeden tak mądrze patrzył. Ten, który odchodzi.

On: Nieży Hitchcock. No, ale żyjesz. I tego się trzymajmy.

Ona: Żyję, jasna sprawa. Piwo mi pomogło. Ostatkiem sił wzięłam jeszcze jeden łyk i poooszło! I się odkorkowałam.

On: No, ba! Piwu zawdzięczasz życie. A niby siedzi sobie człowiek bezpiecznie w domu. Śmierć dopada nas wszędzie. Zwłaszcza w masce codziennego nałogu.

Ona: Nałóg nie jest śmiercią, inaczej bym się nie zakochała w tobie. Ale wolałabym nie umrzeć wstawiona.

On: Dlaczego? Pijanych nie pakują do trumny

Ona: Pal sześć – trumna. Pijanych Nie wpuszczają do nieba.

On: Nie wiedziałem. A do piekła? Do piekła można iść zawianym?

Ona: Do piekła, kochany, to możesz śmiało wjechać na podwójnym gazie. Biorą od razu, z pocałowaniem ręki. Chyba, że haftujesz, może wtedy raczej nie. Jest wytrzeźwiająka w zaświatach. Tam trzeźwiejesz. Ciekawi cię piekło?

On: Twoi koledzy, prawaki, ciągle mnie tam wysyłają, więc warto zainteresować się miejscem, do którego strąca człowieka narodowa klątwa.

Ona: Jeśli cię tam wysyłają, nie są prawdziwymi prawakami. Ja bym cię nigdy nie wysłała do piekła.

On: A gdzie? Przecież kiedyś trzeba będzie umrzeć i gdzieś iść, jeśli gdziekolwiek będzie można.

Ona: Oho, zastanawiamy się, co będzie po śmierci? Bo jeśli nie bezsensowny rozkład materii, to co? Coś ci z eschatologii jednak kołacze w sercu, hę? Ty, nieszczęsny, musiałbyś cały czas żyć. 100 lat, 200, 300, i dłużej, aż do ostatecznego zamknięcia nieba i piekła.

On: Do ostatniej, wyprzedazowej nadziei? Dlaczego, skąd taka łaska, moja kapłanko?

Ona: Aż dojrzejesz i zmiękniejesz.

On: Taaa... Ładna dzisiaj była pogodna. Spójrz za okno.

Ona: Ładna. Idealna na wygraną metafizyki.

On: Chyba tak. Już dojrzewam. Dlaczego tak wielu chce mi w tym pomagać? I ty też. Zupełnie niepotrzebnie. Sam sobie dam radę.

Ona: Daj spokój. Będzie dobrze.

On: Aż mnie ciarki przechodzą od tej pomocy. Całe przedszkole, cała szkoła, rodzina, otulina tradycji, aparat państwa – zewsząd ta pomoc. Taka w duchu świętego Pawła: „zmuś, żeby uwierzył”. Ja już wierzyłem, wiele lat temu. Mam to za sobą. Dziękuję bardzo.

Ona: Co się stało, że już nie?

On: Straciłem odwagę, żeby jeść Boga. Nie potrafiłem Go przełknąć, stawał w gardle. Jedzenie sacrum raptem wydało mi się okrutne i absurdalne. Mięso i krew, komunია zjadania. Żaden Bóg nie zasługuje, żeby był zabity i zjedzony. Nie mówmy może o tym. Było, minęło.

Ona: Sam zacząłeś. Ciągnie, co? Jednak ciągnie do spraw nie z tego świata. Ateiści imponują mi swoją nieświadomą rozpaczą.

On: Jestem agnostykiem.

Ona: O, powiedział. Wszędzie gdzieś to słyszę. Największy konformizm, jaki znam: „wierzę, ale nie wiem. Nie wierzę, ale jest”. Nie za wygodnie? Nie idź tą drogą.

On: Okej. Zawsze możemy wrócić do seksu oralnego.

Ona: Do nieba chodź. Dzisiaj to wolę. Może wpuszczą cię ze mną. Pogadam. Po co masz żyć 300 lat? Beze mnie? Nie pozwolę. Zakrztuśmy się razem truskawkami. Nie dam rady tak dłużej. Niech coś się rozstrzygnie.

On: A co, jeśli nic się nie zmieni i będziemy tak trwać? Jest dobrze. Ty nie chcesz, ja nie chcę. Strach o wszystkim rozstrzyga. Miałabyś tyle odwagi, żeby wszystko rzucić, wszystkiemu zaprzeczyć? Nie. Spotkajmy się może za 30 lat. Będziemy bliżej nieba lub piekła. Całowałbym kosmyki Twoich siwych włosów, wystające z moherowego beretu.

Ona: O, Jezuuuu!... Co wy z tym moherem? Ale suchar! To wciąż działa, nie wierzę. Wszyscy skończymy w moherze, zobaczysz.

On: I zapisalibyśmy się do Akademii Trzeciego Wieku.

Ona: Mocne, zaprawdę mocne!

On: I przesiadywalibyśmy na ławce w parku. Ty byś karmiła gołębie, ja bym je przeganiał.

Ona: Chciałabym wiele rzeczy z tobą. I wiele pierwszy raz. Zdradzić ci coś? No, nachyl się. Jeszcze, no jeszcze! Otóż: gdybym miała dużo kasy, nawet w wieku 80 lat zrekonstruowałabym sobie dla ciebie mój wianuszek...

Ona: Ha! W jakiejś szwajcarskiej klinice. Takie pragnienie. Zatkao

kakao?

On: Cholera, ty mnie chyba naprawdę kochasz. Zatkao jak mao co. Stuknij mnie w plecy.

Ona: Sam widzisz. Nic już nie mów. Kręcisz się w kółko. Słowa tworzą lej, który wciąga nas coraz głębiej w coraz większą bezradność. Już nic nie nazywaj i nie dociekaj: ja, piekło, niebo. Już starczy. Bo mnie stracisz. Wyjdźmy stąd. Chcę się całować. Kochuję!

On: Ukryj mnie pod swoją sukienką i zabierz gdziekolwiek. Twoje sukienki są najbezpieczniejszym kloszem.

Ona: A ty ćmą. Uważaj, bo możesz spłonąć. Ale dobrze, ukryję cię pod moją sukienką.

On: Będę niegrzeczny. Bardzo.

Ona: A ja niespokojna. Wciąż rozchylam i zaciskam nogi. Potrzebuję kontaktu, w każdej ilości. Chodź, zabieram cię stąd.

On: Do nieba? Idę!

On: Spóźniłem się. Spóźniłaś się. Ja, ty, my byliśmy może i punktualni w tamtym czasie, ale nie umówieni. Spóźniłem się. Spóźniłaś się. O jakieś piętnaście, dwadzieścia lat. Gdzie wtedy byłaś? Byłaś do znalezienia, spotkania, przypadkowego zetknięcia? Chodziłaś tymi samymi ulicami? To nieprawdopodobne, żebyśmy mijali się na pasach, stali blisko siebie w autobusach, robili zakupy w tych samych sklepach. Czy mogło się tak zdarzyć, że otwarte drzwi były dla ciebie wyjściem, a dla mnie – wejściem? Może nawet puściłem cię pierwszą w progę, odpowiadając „proszę” na twój krótki, przelotny uśmiech? A co, jeśli byłaś kotem, który chodzi własnymi drogami, z dala od ludzi, a ja psem na smyczy nieznanymi ci ulicami? Dlaczego nie poznaliśmy się wcześniej? Wszystkiemu winne są osobno rysowane mapy sprzed lat. Narysuj ze mną mapę miasta. Czytelną, nieskomplikowaną, najlepiej w jednym kolorze. Tylko kilka linii i kropek – niezbędnych miejsc, i koniecznie z jednym ulicznym zegarem. Żeby się nie oddalić, nie minąć, nie spóźnić. Bez tej mapy zgubimy się wcześniej czy później i zapomnimy tych kilku

kropek. Ja pierdolę, muszę ci to powiedzieć: z wiekiem, naprawdę staje się sentymentalny. Nie poznaję swoich myśli. Jestem przerażony. Mam atak paniki. Nie puszczaj mojej ręki.

Ona: Wezmę ze sobą do domu.

On: Nie jestem skory do żartów.

Ona: Często czuję podobnie. Nie przejmuj się. Obejrzyj sobie „Co się wydarzyło w Madison County”. Sentymentalizm i poczucie straty zjadają cały gatunek ludzki. I tych przed nami i tych, którym to się dopiero przytrafi, choć jeszcze nie podejrzewają. Nie jesteśmy pierwsi ani ostatni. Ty – Eastwood, ja – Streep w porze nijakiej, w czasie nieodróżnialnych dni i tygodni, między pracą, obiadem, wywiadówką. To mnie jakoś pociesza.

On: Nie idź dzisiaj za wcześnie. Nie idź w ogóle. Zapalmy jeszcze jednego.

Ona: Jeśli nie pójdę, nie przyjdę. Jeśli nie będę tamtą, nie będę tą. Dotychczas to rozumieliśmy oboje.

On: Kręcimy się w kółko.

Ona: Jak w kołowrotku. Wsiadam. Możesz mnie podprowadzić. Mam samochód dwie ulice dalej. Zostawić ci papierosy?

On: Odkąd się spotykamy, nie znam miasta.

Użytkownik 2: Nie wiem, gdzie jesteś, ale musisz to wiedzieć: kręcisz mnie, szara kropko. Skąd Ty się w ogóle wzięłeś?

Użytkownik 2: Chodzę podniecona, odkąd jesteśmy, no wiesz, bliżej. Chodzę nakręcona do granic wytrzymałości, a tylko Ty, Ty jeden, znajdujesz kluczyk i raz po raz go wyrzucasz, i tylko Ty, Ty jeden, wiesz, gdzie on leży. Czasami czuję się jak pies, czasami jak rzadko zamieszkiwany dom. Noszę bieliznę na zmianę wszędzie ze sobą, mam ciągle wilgotne myśli i lepkie drżenia. Możesz mi to wytłumaczyć? Nigdy nie nosiłam ze sobą gaci w torebce na wypadki ciągłych słodkich powodzi i fal, które niosą zaskakujące przypiływy. Jestem jak Noe we

własnym ciele. Muszę coś zrobić i nie wiem, co robić. Wszystko zmierza do katastrofy, po której z trudem, dzień po dniu będę musiała odtwarzać życie. I nie wiem, czy coś ocaleje z tamtego czasu, kiedy nie wiedziałam, że w ogóle istniejesz. Nie wiem, czy mi się uda.

Użytkownik 2: Usłysz mnie. Usłysz i poczuj...

On: Nie przypuszczałem, że coś takiego kiedykolwiek... To nie mieściło się w głowie.

On: Miałem i nadal mam wymierzalną przyszłość, poukładane miesiące i lata. Mógłbym obstawiać w ciemno, co się wydarzy za 10, 20 lat. Przewidywalność rodzinna większa niż w rozkład dnia w korporacji. Ambicji większych – brak, perspektyw tyle, co statystyczna średnia z młodzieńczych planów i zniechęceń. Wszystko pod kontrolą, nic na siłę i żadnych złudzeń, żadnej goryczy czy żalu, że nie stać mnie na szaleństwo. Ja nawet go nie pragnąłem, traktując z pobłażaniem miłosne ekscesy kumpli. Słyszało się to i owo. To i owo dziwiło, śmieszyło, czasami wprawiało w konsternację, że on, naprawdę, z tamtą, że tamta z nim?... To takie banalne i płytkie, idealne być zając pięć minut rozmowy przy piwie i wzruszyć na koniec ramionami, ewentualnie uśmiechnąć się pod nosem. Myślałem, że znam bardzo dobrze to miasto. Mogłem przysiąc, że nie kryje ono większych niespodzianek. Nie było w nim ciebie. No i potłukło się moje lustro. Nie wierzę, że potrafię je posklejać, nie wyobrażam sobie, że mogę wrócić do dawnego życia, traktując ciebie jak cudowny, ale jednak epizod, którym warto zwyczajnie cieszyć się, wspominać czule, że się wydarzył, bo przecież mógł się nie wydarzyć. Taki sekretny bonus od losu. Sprawiałaś, że czuję się dzisiaj jak zawrócone raptem w czasie dziecko, które doświadcza czarów. Nie czuję się winny, choć to wszystko na pewno przeze mnie.

On: Jestem Alicją. Ty – Białym Królikiem. Gonię cię, słyszysz? Gonię i boję się zgadywać, jaki będzie koniec.

Użytkownik 2: Helou, jesteś? Odezwij się. Co, kurwa, odcięli internet? Czuję miłość. Ja pierdolę. Chcę Cię mieć przy sobie. To moja piosenka przewodnia. Jestem każdym, kuźwa, jej dzwonkiem, od pierwszego do ostatniego tonu. I nie mogę o tym powiedzieć nikomu! Nikomu, nikomu. Bo sama się zawracać do domu.

Użytkownik 2: Jak się w tej chwili nie odezwiesz, zamiast zieloną kropką, będziesz czerwoną, rozmazaną plamą. Spuszczę Ci łomot, zobaczysz. Już mi tu paluszkami klikamy do ukochanej! Już ślemy całusa samotnej, stęsknionej dziewczynie.

Użytkownik 2: Odpowiadaj, zielony lewusie!

Użytkownik 2: Milczy, naprawdę, milczy. Co za gnój! Przecież widzę, że przeczytałeś. Tchórz!

Użytkownik 1: Po co ta agresja? Przecież jestem. Miałaś dzisiaj adwentowe rajstopy.

Użytkownik 2: Ostatni raz Ci się upiekło. One nie są adwentowe. To purpura, fuksja i biskupi róż w cudownym miksie. Wypatrzyłam, znalazłam. Nie znasz się, lubisz być za to złośliwy.

Użytkownik 1: Czyli katolskie zboczenie. Chciałbym zobaczyć, jak pójdzie Ci oczko. Od pięty, przed łydkę, po udo. Moje oczy pójdą w pielgrzymkę. Wykorzystam chwilę.

Użytkownik 2: Jak to? W minutę? Twoje pieszczoty są jak twitty. Nawet nie zauważę.

Użytkownik 1: Wyglądałaś dzisiaj cudownie.

Użytkownik 2: Kręcą Cię katoliczki? Te staroświeckie, konserwatywne cienie mężów? Nawet na mnie nie spojrzaleś, fiucie. Udawałeś, że się nie znamy. Mistrzostwo aktorskie. Mogłeś przynajmniej uprzedzić, że przyjdiesz. Zaparzyłabym kawę, przyniosła ciasto.

Użytkownik 1: Spojrzałem, cipo. Czternaście razy.

Użytkownik 2: Akurat. Widziałam.

Użytkownik 1: Spoglądałem! I nie tylko na twarz... A rajstopy to, co? Czy naprawdę wierzysz, że przyszedłem, żeby odebrać pismo. Naprawdę? Poza tym dużo ludzi, ciągle ktoś wchodził i wychodził.

Użytkownik 2: Nienawidzę cię.

Użytkownik 1: Dlaczego?

Użytkownik 2: Kocham.

Użytkownik 1: Ja pierdolę. Jestem nieskomplikowanym urządzeniem i odbieram proste komunikaty. Nie kumam. Nienawidzisz i kochasz? Odi et amo? Jesteś pierwszą kobietą, która mnie nienawidzi!

Użytkownik 2: Traktuj to jak komplement. Chciałam zrobić z Tobą coś pierwszy raz. Mogę Cię nienawidzić.

Użytkownik 2: No, odezwij się.

Użytkownik 2: Kurwa, znowu się zawieruszył w sieci.

Użytkownik 2: Hej, co jest z Tobą nie tak? Przynajmniej napisz, że truskawki. Zgasteś, ale jeszcze Cię zapalę.

Ona: Słodkości Moja! Lubię patrzeć, jak jesz. Jedz, jedz. Jeśli za mało, zamówimy więcej. Mam w sobie nieposkromiony atawizm karmienia. Jestem chodzącą stołówką. Mogę karmić całe armie i całe miasta. Mogę całą ludzkość bronić przed głodem.

On: Błagam! Daj żyć. Zjadłem trzy eklery. Trzy eklery i dwa piwa – mój wyrafinowany obiad dzisiejszy.

Ona: Dlaczego nic nie mówiłeś? Następnym razem nagotowałam ci zupy.

On: Nic nie mów przez chwilę. Będę wymiotował!

Ona: O, mamuniu, nie! Szybko, do toalety leć.

On: Za późno, nie zdążę. Cofka kompletna. Są już w gardle. Będę wymiotował eklerami, ale nie wyprę się miłości do ciebie. Jak mawia Pismo: eklerów się nie ulękne.

Ona: Durny. Wyrzucą cię stąd. A mnie z tobą. Humorek jednak dopisuje.

On: Przedwymiotny. Jestem wierny tobie i twoim eklerom! Kto nie zjadł eklera z twojej ręki, niech pierwszy rzuci we mnie bajadera, znaczy się kamieniem.

Ona: Nie bluźnij! Ty jesteś ciastko.

On: Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a eklera od ciebie bym nie zjadł, stałbym się jak kokosanka brzęcząca... Gdybym miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, a eklera bym nie zjadł, byłbym niczym ta beza pusta i dźwięcząca...

Ona: Cymbał brzącający!

On: Tak. Jestem cymbałem. Twoim.

Ona: Dobrze. Możesz być cymbałem. Najmilszym. Kocham cię. Chyba już to mówiłam. Tylko przestań.

On: Nie raz i nie dwa. Zaraz, zaraz: czy ty mnie prosisz o rękę? A gdzie pierścionek?

Ona: No właśnie nie mogę, kurwa. Przecież wiesz.

On: Czyli kochanek. Tak myślałem. Można było przewidzieć, że tak to się skończy.

Ona: Zaczynasz mnie nazywać. To grząski teren. A ić. Ić do dupy. Z tobą tak zawsze.

On: Do twojej? Chcę! Zawsze, o każdej porze.

Ona: Uspokój się, za dużo chyba piweczka i język robi ci się zuchwały. To nas zgubi. Konspiracja, czuj- duch, ludzie patrzą. Mało rzeczy bym nie chciała, jeśli idzie o ciebie.

On: A jakich na przykład byś nie chciała? Może być w punktach.

Ona: Wystarczy jeden: nie chciałabym cię stracić z oczu.

On: Kiedyś stracisz.

Ona: O rety! Ale, że wszyscy pomrzemy? W tym sensie?

On: Nie, kurwa, że znajdziesz sobie innego. I co ty masz z tym: „o, mamuniu”, „o, rety!”. Czasami mówisz jak dziecko. Po co to przedszkole w

ustach, przepraszam – w buzi.

Ona: A spieprzaj.

On: Spierdalaj.

Ona: Durny gnój.

On: Cipa.

Ona: Ale przynajmniej nie pierdolę jak potłuczona. Dlaczego każdy facet to szklanka. Dlaczego każdy facet boi się faceta z przyszłości. O co tu chodzi? Idzie na ciebie ciemny las facetów, Hamlecie?

On: Wal się.

Ona: Ale dzban z ciebie! Zapłać. Wychodzę.

On: Nie skończyłem jeszcze: stara lolita!

Ona: Nie jestem stara. Ani lolita, popaprańcu!

On: Pięknie. Kłócimy się jak małżeństwo z za długim stażem. Zawsze mnie ro ciekawiło, czy kochanek obrywa tak samo jak mąż. Czy są istotne różnice między sprzeczką małżonków a sprzeczką kochanków. Już wiem. Nie ma żadnych. Obrywa się identycznie, i chyba nawet bardziej boli, bo człowiek nie tego się spodziewał. Ale dziękuję, mam tego w domu pod dostatkiem. Stara dupa przechodzona!

Ona: Bo teraz jesteś tylko mój. Możesz mi dokuczać, ale i tak zawsze o te 15 lat starszym będziesz, złamasie.

On: Ostatnio wspominałaś, że tylko o 6. To ile ty masz w końcu lat, co? Dwadzieścia, trzydzieści. Niezła z ciebie bladź! I oszustka!

Ona: Nie bój się, nie grozi ci prokurator. A jak tak gadasz, wyglądasz jeszcze starzej. Mam ci mówić „wujku” czy „dziadku”? I żebyś sobie nie pochlebiał: bliżej ci do Kiepskiego niż Clooney’a.

On: Gerontofilka! Jarają cię starzy faceci, co? Znajdziesz sobie na pewno kogoś starszego! Demografia ci sprzyja.

Ona: Ciszej, na miłość boską. Może jeszcze połączysz stoliki. Po co mają podsłuchiwać, niech się dosiądą. Ty mnie kręcisz. Możesz już spasować? Posłuchałabym teraz z tobą muzyki.

On: Wolna Grupa Bukowina czy Stare Dobre Matżeństwo?

Ona: Obojętnie. Mogę się pieprzyć przy każdej.

On: Jeśli jestem dla ciebie za stary, mów śmiało. Drwij, kpjij, lżyj. To jest erotyczny ageizm. Mam cię dość!

Ona: Ile wyciągasz emerytury, dziadku?

Ona: Masz działeczkę za miastem? Majsterkujesz?

On: Nie, kurwa! Mam problemy z prostatą.

Ona: Tylko wróć z toalety przed północą. Będę czekała z dobrym słowem jak z kolacją.

Ona: Obrażak.

Ona: Obrażalec.

Ona: Obrażuch.

Ona: Obrażymiec.

Ona: Obrażątko.

Ona: Obrażator. Co, lżej, lepiej, czy tylko kropelka i wciąż uciska?

Ona: Milczymy sobie? Udajemy, że mnie nie ma? Ojej, dąsik i zimna makrelka? Uwielbiam. Chyba zrobię ci zdjęcie.

On: Nie jestem zimną makrelą.

Ona: Uwielbiam. Chyba zrobię ci zdjęcie. Odobraż się, proszę, już, wszystko cofam.

On: Jestem jak stara patelnia, do której wszystko przywiera. To moje nieszczęście. Czas chyba się powiesić. Wcześniej czy później takie stany podwyższonych wód miłosnych prowadzą do samobójstwa. Było, nie było to najwyższa forma wyrzeczenia. Idę się powiesić. Co ja mówię, w środku już dyndam. Odtrąciłem krzesło, w pokoju nikogo nie ma. Ciesz się, że nie widzisz tego w moich myślach. Przerażający widok.

Ona: Nie wieszaj się, kiedy wokół tyle truskawek! To nie fair! Poczekaj,

powiesz się, gdy będziemy sam na sam. Może szanowny samobójca na razie odwieść się i odżyć? Szkoda czasu. Zaraz zadzwoni telefon i będę musiała iść.

On: Wiesz, o co prosisz? Żyjemy na planecie o największej śmiertelności. Pozostanie po nas łopot nóg pod sznurem nieba. Za późno. Rodzina jest zrozpaczona, lekarz potwierdził zgon. Uroczystości pogrzebowe odbędą się w czwartek, w miejskiej kostnicy, później msza i sztandary wszystkich talentów, które zmarnowałem. Kościół najpierw odmówił, ale płacz żony i koperta złagodziły nieugiętość Kościoła. Przyjdź w pończochach. Czarna Wdowa-Kochanka.

Ona: Samych? Zbok, pieprzony zbok.

On: Nie, po prostu trup. Nakarmiłaś eklerami nieboszczyka. Ciekawe, co wykaże sekcja. Dojdą do tej restauracji, do kucharza, a później – kelnera. Aż w końcu – po nitce do kłębka – do ciebie zapukają. Może akurat będziesz karmić pół świata, a tu taka hańba! Taki paragraf! Kelner na pewno zapamiętał twoją twarz. Będziesz musiała się nieźle tłumaczyć. Dobrze ci radzę, już obmyślaj kłamstwo. O, ja pierdołę, przecież ty nawet pocałowałaś mnie na powitanie. Jest DNA. Jesteś stracona

Ona: Zbok, jak nic, zbok.

On: Aha, uprzedzam, nic ci nie zapisałem w testamencie. Tak że, wiesz, wszystko na marne, daremny trud romansowania. W ogóle go nie napisałem. Tragiczna, raptowna śmierć, pęknięta życia nić. A mógł przecież jeszcze pożyć. Z tej półki jeszcze nie zaczęli brać. On pierwszy z klasy, z rocznika w mieście. I dobrze, dzięki śmierci, choć raz był w czymś pierwszy. To nawet ładna inskrypcja. Chyba ją każę wyrycić. Płakałabyś?

Ona: Nie! Zatlukę cię! Masz szczęście, że nie jesteśmy sami.

On: O-ła, to boli. Obcasem! W stygnącą już stopę, gdy skóra odchodzi od kości? Ty, dewiantko. Ty, nekrofilko spod kościelnej gwiazdy! Trup nie umiera dwa razy. Chcesz bezcześcić zwłoki? Zostaw ciało w spokoju, ono już przynależy modlitwom i ziemi.

Ona: Czubek.

On: Lepiej klęknij i zmów koronkę do Miłosierdzia. To umiesz najlepiej. Za

swój krótki wyrok i moje zbawienie.

Ona: Zmawiam, nawet nie wiesz, jak często i jak często za twoje dobre zdrowie, palancie. W moim ogrodzie, w skale, stoi Maryjka. Chroni mnie i moją rodzinę.

On: Zrobiłaś sobie kapliczkę w ogrodzie?...

Ona: A pewnie! Ty byś sobie postawił krasnalą z grillem, nie?

On: Trochę mnie przytknęło. Coś brałaś dzisiaj na roratach? No tak, pewnie Najświętszy Sakrament.

Ona: Tak, to Maryja. Mam ją w sercu i w ogrodzie. To Matka Boska Lawendowa. Odmówię dziesiątkę za twoje opamiętanie.

On: Tak, pomódl się za mnie, bo martwą i grzeszną świnia jestem, co nie zatrzymała się nad przepaścią, jak wypomina mi to Stary Testament. A może następnym razem pójdziemy razem na mszę? Otrujesz mnie opłatkiem albo winem.

Ona: Nie chciałbyś. Jestem pewna.

On: A skąd ty to wiesz? Jesteś wróżem Maciejem.

Ona: Kim, kurwa!?

On: Wróż Maciej. Jest taki kolo. Przewiduje przyszłość. Tak jak ty moje jeszcze niewypowiedziane chęci. Teraz jasne, kurwa?

Ona: Jasne. To chyba Maciejka, kurwa. Taka roślina niż wróżka-przewidywaczka. Ładnie pachnie.

On: No, to zostaw ją w spokoju, zajmij się Macieju odwróceniem mojego właśnie dogasającego życia.

Ona: Ty jesteś moją Maciejką! Ty ładnie pachniesz.

On: Siarką. Maciejka is dead. Today.

Ona: Już nie mów tak!

On: Masz rację – trupy nie mówią. Trupy jedzą eklery. Telefon dzwoni. To nie mój.

Ona: Mówiłam. Wróżki-przewidywaczki wiedzą, że istnieją takie połączenia, których nie można rozłączyć, telefony, które nigdy nie cichną i zawracają je tam, gdzie z wróżek na powrót stają się zwykłymi kobietami.

On: Odbierz. No, odbierz. Nie mogę tego słuchać.

Ona: Muszę uciekać. Dam znać.

Użytkownik 2: A kto to taki kochany w deszczyku zapierdalał na rowerzyku i kompletnie nie widział jak oczko światłami dziewczyna puszczała? Jak klaksonikiem trąbiła.

Użytkownik 1: Może dlatego, że deszczyk padał, to on oczka nie widział i tylko sobie zapierdalał. I słuchaweczki na uszach miał. Trzeba było nie trąbić, trzeba było potrącić. Tak lekko, nieznacznie, musnąć bocznym zderzaczką na pasach. Wtedy na pewno by zauważył. Wtedy by z ziemi wstał i dziewczynę ukochał.

Użytkownik 2: No, co ty! Nie wolno mu było przeszkadzać. W swoim matrixie kolarzyk był, o czymś pilnym, arcydoniosłym rozmyślał i niewątpliwie słuchał jakichś poważnych zespołów, może coś z jazzu i muzyki klasycznej. Nie zrobiłabym mu krzywdy, a gdzieżby!...

Użytkownik 1: Masz dobre serce.

Użytkownik 2: Chyba, że sam by o to prosił... Wtedy to inna rozmowa. Wtedy jestem do dyspozycji. Przesiadłabym się nawet do tira.

Użytkownik 1: Trzeba było rozjechać quasi-intelektualną mendę. A co to musi słuchać, rozmyślać i zapierdalać. W deszczyku, w słuchawkach. Tak, tak. Zrób mu kiedyś krzywdę. On pewnie o tym marzy. Stary piernik-masochista.

Użytkownik 2: Hmm... Myślisz, że lubi dostać po pysku?

Ona: Jedzenie chyba całkiem wystygło. Dobrze, że nie posprzątali

talerzy. Ale jestem głodna!

On: Następnym razem mogę nie mówić sobie „stop”? Następnym razem wezmę...

Ona: Proszę, cię... Zajadaj. Następnym razem zrób tak, żebyś czuł się dobrze.

On: Ale ja tak czy inaczej czułem się dobrze.

Ona: To znaczy, że zrobiłeś dobrze. Przepraszam, można prosić nową herbatę. Ta jakoś szybko wystygła.

On: Ech, Ty, Dalajlama! Łatwo ci mówić. Wiesz, jaka to męczarnia? Dżinsy z dwóch stron to najgorszy wynalazek na świecie. Mogłabyś wziąć to pod uwagę. Moje pole manewru, rozumiesz, jest ograniczone.

Ona: Za długo czekaliśmy, sukienki wyleciały do ciepłych krajów. Dopiero w kwietniu może się zdarzyć. Mówię ci, lepiej gotuję. Kiedyś będziesz musiał sprawdzić.

On: To już nie Dalajlama, to istny Budda.

Ona: Przestań natychmiast!

On: A niech spierdalają i za siódme morze. Jestem tak napalony na ciebie, że i przez dżinsy, kalessony, swetry, kurtki, przez poście kozuchów mogę. Co tam, przez kozuch – przez Mur Chiński.

Ona: No, ja jestem taka napalona, że chyba nie muszę się z tobą kochać, żeby się z Tobą kochać. Smakuje ci? Kto stawia?

On: To już chyba Konfucjusz. Nie wiem. Znaczący ja stawiam.

Ona: Ech, Ty. To znaczy, że robię się wilgotna. I nie dla tego, że mnie zaprosiłeś, no wiesz.

On: Weź, bo mi wypada widelec, nie mogę trafić do ust. Tęsknię małego. Odległość stolika jest międzygalaktyczna.

Ona: I ja. Tylko, że ja bardzo mocno, psia mać. Mam na ciebie ochotę taką, że nawet w tej chwili mi w brzuchu łaskocze. Muszę to zapchać żarciem. Zrób coś. Jestem przezroczysta. Ty jesteś przezroczysty. Inni nie możemy być.

On: Jesteś piękna.

Ona: Nie jestem piękna. Jestem zakochana. Jestem lawendowa i nie do poznania. O, Boże! Ja kręcę włosy. Kurwa mać, przecież to gołym okiem widać.

On: Maślaki w oczach. Moich i twoich. Niby przezroczyści, a jednak nie do końca. Wali od nas romansiem na kilometr. Pewnie każdy głupi to widzi, a my – pierwsi naiwni, że ze szkła, że niby znajomy, znajoma, wspólny obiad. Szkoda gadać.

Ona: Zwariuję! Jedz szybciej.

On: A później?

Ona: Chcę zamieszkać z Tobą w windzie w wieżowcu o stu piętrach. Chcę się z Tobą kochać. Jak patrzę na ciebie, wyobrażam sobie, że jesteśmy w takim wieżowcu. Opustoszałym, gdzie wszyscy i wszystko ogłosili bankructwo. Rodzina, władza, religia, macierzyństwo, cała ludzkość. I nie ma nikogo, jedziemy na ostatnie piętro, nie zastanawiając się, co nas tam spotka. Patrzyłabym na to, co robimy, w lustrze. Rozpłynę się tu za chwilę. To męczące. Wystarczy 5 centymetrów i 5 minut.

On: 5 centymetrów?

Ona: 5 centymetrów bliskości. To jest tortura.

On: Zdejmij majtki. Nie chcę dzisiaj ich kraść. Chcesz coś słodkiego? Zamówić.

Ona: Najpierw zdejmij ze mnie ogrodzenie z truskawek. Nie mogę zrobić kroku dalej. Musimy cofnąć czas i się spotkać. Zacząć jeszcze raz, jakby to był pierwszy raz. Rozumiesz?

On: Spotkamy się. Obiecuję.

Ona: Dobrze. Będę czekała na znak. Chcę już iść. Poproś rachunek.

On: Jeśli zobaczysz przed domem trzy liście ułożone w trójkąt, to znak, że się spotkamy. Jeśli cztery w kwadrat – to znaczy, że nie.

Ona: Kurde, sprzątnęłam liście.

On: Już Ci przeszło?

Ona: Ale co?

On: Wkurw w piaskownicy.

Ona: Nic nie pamiętam. Mówiłeś wczoraj prawdę? Chcesz jechać nad morze?

On: Nie, coś z mniejszym rozmachem: nad jezioro. Nie słuchałaś.

Ona: O rety, no nieważności, ale jest takie pomysłowości, hę?

On: Tak.

Ona: A kiedy?

On: Jest jeszcze chwila. Wcześniej inne priorytety. Robi się gęsto. Musimy zwolnić.

Ona: Wiadomix, ojeeeeej... Panie Priorytet. Pan Priorytetowski. Pan Prioretytowicz!

On: Proszę nie kpić. Działamy metodycznie, po kolei.

Ona: O rety, ty jesteś poważny dzisiaj. Ale można żartować przy panu Priorytetowskim czy nie? Chciałabym pojechać nad morze. Wydmy, piachy, słońca, zapiekanki, te sprawy

On: No.

Ona: No i co? Ty mnie nie hamuj, Ty, Ty! Priorytetowcu! Pozdrowienia z znad Bałtyku dziewczyna-plastelina śle. Wolisz pocztówkę czy zdjęcie?

On: Nie hamuję cię. Bądź obiektywna. I od kiedy ty jesteś taka do przodu? Telefon się zepsuł? Jest grudzień, święta za pasem. Muszę pobyć ojcem.

Ona: Ja cały czas jestem matką. Dzieciaki nie narzekają. Mogę więc czasem pobyć śnieżynką. W grudniu, nad morzem, czemu nie? To nawet pasuje. Niech Pan Priortetowski otworzy kalendarz. Bądź moim Mikołajem! Proszę, będziesz mi Mikołajem z brodą?

On: Chyba drwałem. A masz białe pończochy, Śnieżynko?

Ona: Mam wszystko. Uwielbiam święta i karnawał, i tańce-przebierańce. Nawet gwiazdki mam... i gwiazdkę.

On: Nie nakręcaj mnie.

Ona: Nie nakręcam. Odpowiadam. Lubisz takie zabawy i inne sztuczki magiczki? Kręci Cię granie takich tam różnych ról i rólelek?

On: Nie wiem, naprawdę. Po prostu wyobraziłem sobie ciebie w białych pończochach. Typowo męska fantazja. Stara jak tekstylny świat.

Ona: Dla mnie spoks. Po prostu pytam, czy to lubisz?

On: Przecież mówię, że nie wiem. Czasem tak, czasami nie. Trzeba nastroju, żeby wejść w kicz. A w kogo już się bawiłaś?

Ona: Dużo, dużo. W piwnicy mi się to już nie mieści. Mam kilka szaf.

On: Nie pytałem o szafy.

Ona: No, na przykład śnieżynka, albo mikołajka, albo smerfetka, myszka Miki – moja naj, sanitariuszka, sekretarka, dziwka, wiewiórka...

On: Wiewiórka? Ja pierdołę... I mieszasz do tych perwersji dzieci? Pięknie...

Ona: Dlaczego zaraz dzieci?

On: A kto występował w stroju myszki Miki w teatryku z okazji Dnia Dziecka? Widziałem na fejsie.

Ona: Ojej, oglądasz mój profil? To miłe, nie przypuszczałam. Ale to nie była myszka Miki! To była Audrey Hepburn z wielkim kokardami z jakiejś tam disneyowskiej bajki.

On: Grubo, naprawdę. Nie miewam pedofilskich fantazji.

Ona: Też mniam! Ale moim hitem jest klawiszka. Oddziałowa z numerem 69 na czapce. Sublimuję sobie. Jestem jedną, wielką, chodzącą sublimacją! Kiedyś Ci ją pokażę.

On: Jeśli się zdarzy.

Ona: Byłbyś moją więźniarką, skazanym na dożywocie. Robiłabym ci codziennie kipisz i kazała zmywać podłogę w moim gabinecie. Tęsknię. Ciężko jest być przy Tobie za szybą. Bardzo. Dziś to samo. Marzę, żeby wszyscy w knajpie naraz dostali sraczki. Potrzebuję do Ciebie, blisko. Potrzebuję, kurwa, do Ciebie. To telefon? Nie mój.

On: Miałem dostać pingla. Przepraszam. Może spotkamy się jutro? Będę miał więcej czasu

Ona: Nad jeziorem? Spadaj, Priorytecie. Posiedzę sobie jeszcze.

Ona: To dziwne, nie wiedzieć, co zrobić z czasem, gdy raptem zrobiła się wyrwa. Nadliczbowa, dodatkowa godzina. I drzwi domu nie wołają. Dzieci nie słychać, znajomi nie wystukują mojego numeru. Maile nie domagają się odpowiedzi, esemesy mają puenty niepotrzebne odpowiedzi. Życie, na moment, mnie nie zaprzęta, nie zakrzykuje, o nic nie prosi, jakby nie zauważało, przechodzi obok. Dzisiaj mam więcej czasu. Właśnie dzisiaj i siedzę przy stoliku z wyrwą po człowieku, którego boję się kochać i jeszcze bardziej – nie kochać. Zżera mnie egzaltacja, skąd to się bierze? Z brzucha czy z serca, a może wije gniazdo w głowie. Gadam do siebie, gadam do pustego krzesła, gadam do ściany, gadam do własnych paznokci. Gadam i gadam, i sama się siebie nie potrafię wysłuchać.

Ona: Halo, można? Poproszę piwo.

Ona: Za moje i jego nieszczęście. Chcę się zakrztusić jeszcze raz. Brakuje tylko psów. Jemu niech zegarek wrośnie w nadgarstek!

Użytkownik 1: Nie okręcaj mnie wokół palca tymi komplementami!

Użytkownik 2: To są fakty. Nie chcę Cię okręcać. Jesteś taki. Jak się nie kochasz, to się z Tobą nie bawię!

Użytkownik 1: A Ty się do mnie nie podwalaj!

Użytkownik 2: I nie będę!

Użytkownik 1: Akurat. Podwalać może i nie, ale kusić, nęcić, podniecać to i owszem prawda?! Kto pozwolił się całować i dotykać?

Święty turecki? Gupia.

Użytkownik 2: Nie mów tak, bo się popłaczę! To nie fair! Mówisz, że jestem gupia, bo się we mnie kochasz! Wiem to!

Użytkownik 1: Dlaczego, skąd i po co tu płacz?

Użytkownik 2: Bo tak! To jest nieprawda!! Proooooooszę Paaaaaaniiiiii! A kto mnie ciągnął do swoich „zabawek” i chciał się bawić w „dom”? Zapraszałeś mnie do wspólnej zabawy!

Użytkownik 1: Nie zapraszałem.

Użytkownik 2: I jeszcze mówiłeś, że tak wesoło bawi ci się ze mną!

Użytkownik 1: Nic takiego nie mówiłem.

Użytkownik 2: Mówiłeś! Nie mówiłeś?! Że Ci dobrze?!

Użytkownik 1: Proszę nie krzyczeć!

Użytkownik 2: Koniec.

Użytkownik 1: O, nie. Nie ty będziesz decydowała, kiedy koniec! O nie, kochana, o nie!

Użytkownik 2: Będę!

Użytkownik 1: Nie!

Użytkownik 2: Tak! Oszukaniec. Może i gupia, ale nie taka ostatnia, najgupsza! Jestem napalona. Teraz. Nienawidzę cię. Krzyżują mi się nogi.

Użytkownik 1: Phi... Ciekawe na co jesteś napalona?

Użytkownik 2: Na naleśniki z czekoladą.

Użytkownik 1: To sobie usmaż.

Użytkownik 2: Usmażę.

Użytkownik 1: Smacznego! Życzę tysiąca orgazmów. Następnym razem mów, że chcesz trochę mąki, mleka i jajka. Przyniosę ze sklepu.

Użytkownik 2: Następnym razem nie dam się nabrać

Użytkownik 1: Na co?

Użytkownik 2: Na czary mary! No, igramy se, hę?

Użytkownik 1: A co zdziwiona? I to Ty stosowałaś czary.

Użytkownik 2: Ani ani.

Użytkownik 1: Zdziwiona, że mnie jeszcze nie zaliczyłaś? Też się dziwię.

Użytkownik 2: Mocne, przyznaję. Nie myślę o Tobie zaliczkowo, pacanie.

Użytkownik 1: A jak?

Użytkownik 2: Wiesz jak.

Użytkownik 1: Nie wiem. Nie mówiłaś mi nigdy.

Użytkownik 2: Mówiłam milion razy. Kocham cię. Kurwa, której części nie rozumiesz?

Użytkownik 1: Jak, w jaki sposób o mnie myślisz? O to chodziło, debilko.

Użytkownik 2: W taki, kretynie.

Użytkownik 1: Głupia cipa.

Użytkownik 2: Pieprz się.

Użytkownik 1: Się? Nie ciebie?

Użytkownik 2: Najchętniej się, ze mną.

Użytkownik 1: Wchodzę w to! Na chwilę truskawki, sorry.

On: Możemy kochamy kogoś, kogo nie ma? Kurde, słyszysz, jakie to pretensjonalne?

Ona: Nie. Boisz się, żeby nie być śmiesznym. Ja wiem, kogo kocham. Ty

jesteś. Ja jestem. Wiem, z czym się mierzę.

On: Tak. Tylko sama wiesz, że na dłuższą metę do nienormalne, wyniszczające, poza chwilami, gdy możemy być razem.

Ona: Wiem. Strasznie cierpię. I strasznie Kocham. I myślę, myślę, myślę. Głowa mi pęka od tego rozmyślenia. Nie umiem przeskoczyć tego, że kiedy czuję tak, jak teraz na przykład, nie mogę po prostu złapać Cię za rękę. Jestem niewidzialna. Tylko tak możemy istnieć.

On: Wpakowaliśmy się. I nie wiem, czy na własne życzenie. To przyszło samo. Dyskretnie. Wręcz podstępnie. Przyszło i teraz jest.

Ona: Jest i się domaga. I ja się nie dziwię.

On: To po co mnie w sobie rozkochałaś?

Ona: A Ty? Dlaczego pozwoliłeś, żebym Ci oddała całe serce?

On: Ja??? Ty mnie zeżarłaś całego. I tyle.

Ona: Ja??? Ty mnie oswoiłaś całą. I tyle.

On: Ja??? Ty mi pokazałaś swoje piękno. I tyle.

Ona: Ja??? To ty jesteś cały wspaniały, wymarzony. I tyle.

On: Ja??? Wymarzyłaś sobie, a ja muszę sprostać. I tyle.

Ona: Ja??? Nie zrzucaj na mnie, wzięłaś sobie i mną zawładnęłaś. I tyle.

On: Ja wzięłem sobie Ciebie? Z której półki, bo nie pamiętam! Górnej czy dolnej? Mam podły chwilami charakter. Tak mówią. Weź to pod uwagę. W którym sklepie?

Ona: Raczej z wypożyczalni. Pieprzę to, wiesz?

On: No to porozmawialiśmy.

Ona: Bo to jest nieważne. Ja mam milion razy więcej wad. Chcę kochać.

On: To Kochaj! Nikt ci nie broni.

Ona: Zabawny, kurwa, gość.

On: Jeśli Ty masz milion razy więcej wad, to może ty zła kobieta jesteś?

Ona: Ty wiesz, że tak może być!?

On: Cholera jasna, a ty wiesz, że możesz mieć rację? Wpakowałem się, kretyn!

Ona: Nie kochaj i już.

On: Myślisz, że to tak da się? Nie kochaj i już?

Ona: Nie da się. Ja, na przykład mam bardzo małe, niewymagające marzenia. Dziś chciałabym bardzo, żebyś ze mną był, w łóżku. To moje największe Marzenie. Przez duże M. Nic więcej. Czy to wiele!?

On: To takie niewinne. Ona i on. A co by robili? Leżeli sobie? Oglądali film? Pomyśl przez chwilę o nas jako o nich. Patrz, siedzą tam, przy stoliku pod oknem. Ja – on, ty – ona.

Ona: Na pewno chciałaby się na nim położyć, przycisnąć go swoim ciężarem i nie wypuścić. Nos w nos być. I całować cię, całować, całować, i wachać, wachać, wachać i ścisnąć i się wcierać i słuchać, słuchać, słuchać. I zasnąć tak nawet by mogła. Ewentualnie się kochać.

On: Ewentualnie chciałby i się zgadza. Chciałbym całować ją milimetr po milimetrze.

Ona: I dalej się wpędzają w depresję...

On: I będą tak siebie wpędzać. Do usranego końca, który może w ogóle nie nadejdzie. Nie lubi jej i ma ją gdzieś! Tak lepiej? Zobaczysz, ona wyjdzie do toalety, on – z knajpy. I raczej nie wróci.

Ona: Ona jest stęskniona, lawendowa i rozmarzona. Nienawidzi go, kurwa, i będzie chciała się wycofać ze wszystkiego, jeśli wyczuje, że wrócił mu apetyt na truskawki. Niewykluczone, że on zacznie się znowu nim zajadać i będzie zjawiać się na spotkaniach z czerwonymi plamami wokół ust, które odcisnął świat, zanim zapachniało lawendą.

On: Zanim wyjdzie, będzie do końca miły. To jest bardzo krótka historia. Po czasie odkryje, że mógłby ją streścić w kilku zdaniach. Nienawidzi jej, będzie się chciał wycofać. Jeszcze nie wie, jak to robi. Jest

tchórzem, choć nazywa to sobie empatią. Nie chce ranić.

Ona: Nie będzie się czuła oszukana. Przecież również oszukiwała. Ani słabiej, ani gorzej. Oszukiwała równie mocno, tak samo. I raptem ciach. I koniec. Nadejdzie wiele długich ciężkich, kamiennych nocy. Tak strasznie będzie się chciało jej spać. Będzie odsypiała kłamstwo i budziła się około południa, patrząc na ułamany wafel chmury. Jeśli cokolwiek zostanie za jakiś czas, to tęsknota niedopałków.

Koniec